

# Wieczory Rodzinne

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY.

## MARMURY.

Piękne te; do użytku i ozdoby służące kamienie należą do rodzaju *wapniaków*, to jest tych białych, lub żółtawo-szarych kamieni, z których wypalają wapno. Marmur jest drobnoziarnisty, twardszy od wapniaka i mało do niego podobny, posiada jednak ten sam skład, co i wapniaki. Tak samo burzy się od kwasu i wydaje z siebie gaz węglany, a na ogniu wypala się na wapno. Warstwy marmuru tworzą najczęściej żyły wśród pokładów wapniaka zwyczajnego, co pokazuje także, iż kamień ten powstał ze zwyczajnego wapniaka.

Marmur jest dlatego wysoko cenionym, że daje

się wybornie rzeźbić i wykuwać dłutem. Doskonale wygładza się i szczególnie ładnym, błyszczącym staje się po wygładzeniu.

Marmury bywają najrozmaitszych barw, lub upstrzone różnokolorowemi plamami i centkami. Są to najpiękniejsze kamienie budowlane, używane na grobowce, tafle do posadzek, kolumny i inne ozdoby architektoniczne.

Koło Chęcin i wogóle w Kieleckiem znajdują się polskie kopalnie marmurów z których jedna we wsi Szewce, dostarczająca marmuru ciemno-brunatnej barwy. Rycinę której poniżej podajemy.



KOPALNIA MARMURU SZEWCE.

# Zarysy cywilizacji starożytnych narodów.

c. d.

O nauce i mądrości przysłowia te wyrażają się również trafnie: im więcej będziesz się uczył, tem łatwiej poznasz, jak mało umiesz; jeżeli ci się zdaje, że za wiele masz rozumu, to znaczy, że niemasz go wcale.

Ze wszystkich gałęzi piśmiennictwa najwyżej w Chinach stanęło dziejopisarstwo. Pod względem wiarygodności podanych faktów, ich oświetlenia, ścisłości i dokładności w badaniu źródeł są one niezrównane, jedynie tylko styl suchy i zawył stanowi ujemną stronę tych dzieł. Dziejopisarstwo znajduje się u chińczyków w wielkiem poszanowaniu i od najdawniejszych czasów przy dworze znajdował się wysoki urząd historyka, mający zapewnioną zupełną niezależność i obowiązany przekazywać potomnym istotną prawdę, najdokładniej zbadaną i krytycznie oświetloną.

Chłodne i nieprzejmujące się usposobienie wyrażają już chińczykowi od dzieciństwa oryginalnym sposobem nauczania. Dziewcząt wcale nie uczą, a chłopiec do lat 7 lub 8 znajduje się pod opieką matki, która również nie umie czytać ani pisać; potem chłopiec przechodzi do szkół wyższych, a następnie składa egzaminy na rozmaite urzędy.

Tytuł doktora nauk jest najwyższym szczeblem, do którego z wielkiej liczby kandydatów dochodzi za ledwie około 300 osób rocznie.

Wykształcenie dziewcząt znajduje się w najzupełniejszym zaniedbaniu, gdyż istnieje przesąd, że sztuka czytania i pisanie jest dla kobiety niebezpieczną, najwyższa przecież nauka, otrzymanie stopnia akademickiego daje nadzwyczaj szczupłe pojęcie o najniezbędniejszych wiadomościach. Z geografji, matematyki, historii, przyrody, taki doktor nauk nie umie prawie nic, za to może godzinami recytować bez zająknięcia całe księgi, nie opuszczając ani wyrazu. Taki system nauczania zabija wszelką samodzielność, wszelki postęp na drodze rozwoju umysłowego, dlatego też chińczycy,

doprowadzwszy w odległej starożytności swe nauki do pewnej doskonałości, nie posuwają się ani na krok dalej i dzisiejsza ich cywilizacja niewiele różni się od tej, jaką posiadali przed tysiącami lat. Sprawdza się tu dobitnie przysłowie, że kto nie postępuje, ten się cofa.

## INDJE WSCHODNIE.

Indje Wschodnie zajmują olbrzymi półwysep Indo-stański, leżący w przepysznym klimacie i oddzielony od północy niebotycznym pasmem gór Himalajskich, wstrzymujących zimne wiatry, idące od Syberji ku południowi.

Majestatyczne rzeki, wśród których Ganges i Ind pierwsze zajmują miejsce, utrzymują wilgotność gruntu, przez co przy gorącym klimacie roślinność dochodzi do niezrównanych i zdumiewających rozmiarów. Bez wielkich zachodów ziemia daje tu nadzwyczajne urodzaje, dostarczające człowiekowi wszystkiego, o czem tylko może zamarzyć.

Wśród tej wspaniałej przyrody, poświęcając niewiele czasu i pracy na zdobycie środków do życia, mieszkańcy tutejsi oddawali się naukom i sztukom, cywilizacja więc doszła tu do wysokich granic. Rozwój kulturalny mógłby wznieść się jeszcze na wyższy szczebel, gdyby nie stał temu na przeszkodzie fatalny podział narodu na kasty, tamujące większości dostęp do źródeł wiedzy i uniemożliwiający zogniskowanie dążeń wszystkich warstw ludności.

O wspaniałości i bogactwach Indji Wschodnich wiedzieli już kupcy w bardzo odległych czasach, nie rozgłaszali jednak tych wiadomości, obawiając się współzawodnictwa w zyskach. Dopiero Aleksander Macedoński, w czasie swych wypraw wojennych, dotarł do rzeki Indu, pokonał w tych stronach spotkane ludy i kraj cały nazwał Indjami.

d. c. n.

I. Krzymowski.

# NIGDY!!!

dok.

Z. MORAWSKA.

POWIEŚĆ Z R. 1813.

Przedruk i tłumaczenie wzbronione

Od czasu do czasu odzywały się tylko dzwony, którym z rozkazu Napoleona kazano grać w pewnych odstępach.

Przez dzień następny milczały działa.

Lecz po wielkich nadziejach przyszły wieści zatrważające.

Sprzymierzone wojska zebrały się nagle.

Przerwany pierścień złączyły, zacieśniając go z nadzwyczajną szybkością.

Blücher to sprawił.

Blücher najzawziętszy wróg Napoleona.

Niewyczerpany w swych obrotach wo-

jennych umiał je zawsze skierować we właściwym czasie.

Nazywano go też pruskim Napoleonem.

Wiedział o tem Napoleon, to go najwięcej bolało.

Gdy mu doniesiono o przygotowywaniu się do stanowczej bitwy armii sprzymierzonych, zbladł i zatrząsł się cały.

Zbadał sytuację.

Uważał ją wprost za rozpaczliwą.

Wojska Murata i ks. Poniatowskiego były wielce przeredzone.



— Nigdy! — powtórzył nasz wódz waleczny.

Pozostałe tak wyczerpane, że nie można było liczyć na ich nadludzkie wysiłki.

— Bawarzy, Sasi to niepewny żołnierz! — mruknął do siebie.

I wysłał pojmanego jen: Meerfelda do ces. Franciszka z listem.

Korzył się, zaklinał na spokój swej żony Marji Luizy, a jego córki, ofiarował mu Ks. Warszawskie, Illyrję i wiele innych ziem.

W zamian żądał wyjednania zawieszenia broni przez 24 godzin!

Tylko przez 24 godzin!

Nie otrzymał żadnej odpowiedzi...

Owszem, otrzymał ją w postaci nadciągających nowych sił sprzymierzonych, idących z wielką szybkością pod Lipsk.

Po chwili jakiegoś rozpaczliwego zniechęcenia nagle zabłysła Napoleonowi jakaś myśl nowa.

— Zmienić obroty! — zawołał.

I wydawał rozkazy.

Padaly nazwiska dowódców, którzy z niesłychaną szybkością sprawiali swoje szeregi w miejscach wskazanych. Wreszcie zawołał:

— Dąbrowski powstrzyma Prusaków od strony Möckeru!

— Poniatowski... i nie dokończył rozkazu.

Mruknął tylko.

— Poniatowski sam będzie wiedział, co czynić.

I rozejrzawszy się dodał:

— Położenie nasze nie jest jeszcze zbyt groźne, wybrniemy!

Odpierano też wszędzie ataki sprzymierzonych.

Szala zwycięstwa chyliła się nawet na stronę Napoleona.

W tem doniesiono mu.

— Bawarzy i Sasi przechodzą do wojsk sprzymierzonych.

Zgrzytnął zębami.

— Odwrót! — rozkazał już późnym wieczorem.

— I odwrót może być chwalebny! — zawołał jakby dla dodania sobie i dowódcom otuchy.

— Z Rosji był trudny odwrót, a jednak wybrnęliśmy z niebezpieczeństwa, dodał:

I jednych wysyłał, ażeby się przedarli przez szeregi nieprzyjacielskie, innych, żeby bronili miasta.

Teraz położenie już stawało się rzeczywiście rozpaczliwe.

Wojskom Napoleona zabrakło naboju! Noc z 18 na 19 października była nocą rozpaczcy.

W Lipsku była cisza.

W oddali grały działa.

Napoleon przepędził noc w mieście, w hotelu Pruskim, rozmyślając, jakim sposobem wycofać się z pomiędzy nieprzyjaciół.

— Wrócimy do Francji i powetujemy straty! — obiecywał sobie układając nowe plany.

Nad ranem odwiedził Fryderyka Augusta księcia warszawskiego i króla saskiego, jedyne go sprzymierzeńca, jaki mu pozostał.

— Nie traćmy ducha — pocieszał go — przyjdzie chwila, powetujemy straty; urzemy się jako zwycięscy; córka wasza zasiądzie na tronie polskim wraz z ks. Józefem.

Sciskał go z nadzwyczajną kordjalnością, czego nigdy nie robił. Czynił przytem wielkie obietnice.

Czy wierzył w ich ziszczenie?

Któż może odgadnąć!

A Fryderyk August smutnie się uśmiechał i milczał.

Milczał, bo nie wierzył już w szczęśliwą gwiazdę Napoleona, a widział niebezpieczeństwo w jakie popadał.

Od świtu d. 19 października działa nieprzyjacielskie grać poczęły.

Odgłos ich muzyki dochodził najpierw z oddali, powoli coraz więcej się przybliżał.

Wreszcie z wielkim hukiem, jak uderzenie gromu otworzyła się jedna z bram Lipska. To Badeńczycy zamiast bronić, rozwarli ją na oścież.

Wpuścili Prusaków i połączyli się z nimi.

— Przejść przez most na Elsterze, wysadzić go w powietrze, różnemi drogami okrążyć nieprzyjaciela, zrobić odwrót honorowy! — rozkazywał Napoleon.

— Później wszyscy się połączymy — obiecał.

I wśród gradu kul opuścił miasto.

Z wielkim niebezpieczeństwem przedzierał się drużynami nie zajętemi przez nieprzyjaciół, ale się przedarł.

W Lipsku pozostał marszałek Ney, kilku innych wodzów francuskich, ks. Józef Poniatowski i wielu polskich generałów.

O staczaniu właściwej bitwy niepodobna było myśleć.

Ostrzeliwano się tylko, dążąc do mostu na Elsterze.

Poniatowski z garścią sobie wiernych zasłaniał odwrót.

Wśród ogólnego zamieszania, zbliżył się do niego jakiś oficer i rzekł po niemiecku:

— Niech się jego wysokość podda, cesarz Aleksander i król pruski, będą umieli ocenić jego męstwo!

— Nigdy! — zawołał ks. Józef.

W tej chwili kula zerwała mu kask i drasnęła w ucho.

Była to już druga rana jaką w tym dniu otrzymał.

Krew przepęłniała jego odzienie, zalewała twarz całą.

— Miłoścywi ksiązę, dla dobra ojczyzny poddaj się, radzili bliżej koło niego będący.

— Nigdy! — powtórzył nasz wódz waleczny, i rzucił się naprzód.

Pod gradem kul przebył błota Plejsty. Czuł, że go siły opuszczają.

Słyszał, że do niewoli biorą najdzielniejszych naszych generałów.

Dostali się do niej Małachowski, Izidor Krasieński, Umiński, Bronikowski i wiele in.

Nagle przed oczyma nieugiętego naszego wodza zajaśniała straszliwa łuna...

Most podpalili Francuzi.

Przeszedłszy go, nie troszczyli się o tych, co pozostali.

O Polaków.

Ostatni ratunek płonął.

Ks. Józef będący już na wybrzeżu Elstery, spiął konia i skoczył w jej wody.

Kilku z najbliższej go otaczających wskoczyło za nim.

Nieprzyjaciel posyłał za pływającymi kule. Jedna drasnęła w bok Poniatowskiego.

Zachwiał się, ale nie spadł z konia.

Pruł fale rzeki, przynaglając zmęczonego rumaka.

Kula świsnęła.

Zraniła konia.

Zaczął tonąć.

Orszacki będący najbliższej najpierwszy podtrzymał konia.

Inni z obu stron podtrzymywali go.

Chwilę tak pruli fale Elstery z wielkim wysiłkiem.

Brzeg przeciwny był daleko.

Nie zdołali uratować najdzielniejszego z naszych wodzów.



Książę Józef Poniatowski wskazuje do Elstery.

Księżę Józef Poniatowski utonął.

Utonął d. 19 października 1813 r.

Z nim kilkunastu najwierniejszych mu towarzyszków, między innymi kapitan Tadeusz Orszacki.

Utonął wierny swej dywizie:

„Bóg mi powierzył honor Polaków, Bogu go oddam“.

I rzeczywiście Bogu go tylko oddawał.

Ciało jego wydobyli z Elstery wierni towarzysze.

Wydobywali go już teraz spokojnie.

Nieprzyjaciel widząc śmierć nieustraszonego naszego wodza, nie gonił za nim.

Spokojnie też złożono je na cmentarzu miejscowym, a w rok potem do Krakowa przewieziono i pogrzebano w grobach królewskich na Wawelu.

Towarzyszyły mu łzy narodu i serca drgające jak dzwon nieustający.

A w kraju?

Zapanował smutek i niedola.

Wszyscy oplakiwali tych, którzy w tej walce polegli.

Ci co nie polegli, nie dostali się do niewoli poszli na tułactwo.

I niema zakątka ziemi, gdzieby ich nie było.

Wielu z najzagorzalszych wielbicieli Napoleona dzieliło jego losy do ostatniej chwili.

W Wielni jak w całym kraju zapanowała cisza i smutek.

Cześćnikostwo zostali tylko sami z młodszymi dziećmi, Anielka została w klasztorze pp. Bernardynek w Wieluniu, poświęcając się cierpiącym i ubogim.

MARJA PORASKA.

(Alita).

## Spełnione życzenia

Obrazek sceniczny w 1-ym akcie.

c. d

(Kłękają na środku sceny i wszyscy odmawiają głośno)

WSZYSCY

Ojcie nasz wielki, Który jesteś w niebie,  
I w tworze każdym i na całej ziemi,  
Oto Tve dzieci modlą się do Ciebie,  
Racz na nich wejrzeć oczyma świętymi.  
O Panie, Panie i Władco wszechświata.  
Coś zmarłych wskrzeszał, uzdrawiał schorzałych,

Oto nas troska o jutro ugniata,  
I nędza wchodzi do tych ścian szczerńiałych.  
Z lepianki naszej wyciągamy ręce,  
My Twoje wierne, miłujące dziatki,  
O! ulżyj naszej bezgranicznej męce,  
I weź w opiekę sieroty bez matki.  
Litosnem okiem, spojrzuj na nas z nieba,  
Wszechwładną dłonią otrzyj łzy serdeczne,  
Daj dzieciom Twoim powszedniego chleba,  
A matce naszej odpocznienie wieczne.

Odmówiwszy pacierz gaszą lampkę i kładą się spać; dziewczynki na łóżku, chłopczyk na ławce, podkłada stare palto pod głowę i zasypia. Księżyc przez małe okno oświetla izbę. Długa cisza. Powoli uchylają się drzwi i wchodzi w bieli duch zmarłej matki. W rękach trzyma kołowrotek, dwa dzbanki i mały warsztacik stolarski. Zatrzymuje się przed drzwiami, potem wolno postępuje naprzód, spoglądając na uspięone dzieci.

### DUCH MATKI

Niech będzie sen wasz błogosławiony,  
Moje pociechy,  
Nim promień słońca czysty, złożony,  
Błyśnie z za strzechy.

Za waszą miłość, za waszą zgodę,  
O, dobre dziatki!  
Z ręki anioła niesie nagrodę,  
Duch waszej matki.

Coście mieć chcieli, o czym marzyli,  
Dziś wszystko macie,  
Praca wam młode życie umili,  
W tej smutnej chacie.

Niechaj nad wami, moje pisklęta,  
Radość zaświeci,  
Dzięki Ci, Chryste i Panno Święta,  
Za dobre dzieci!

Stawia na stole przyniesione rzeczy i spojrzawszy raz jeszcze na dzieci wychodzi. Światło księżycy gaśnie, świt wciska się przez szyby. Kasia budzi się, przeciera oczy i siada na łóżku.

### KASIA

Czy mi się zdaje, że tu pachną kwiaty?  
Czyżby po nocy ktoś wszedł do tej chaty  
I przywiózł z sobą taką woń kwicianą?  
(zeskakuje z łóżka)

Wstawajcie, dzieci, bo już złote ranol  
Do lasu trzeba pobiedz wcześniej nieco,  
Zanim się inni na maliny zlecą.

Jędrus i Basia podnoszą się i ujrawszy przyniesione podarunki wydają jednocześnie okrzyk radości. Kasia podbiega i chwyta w ramiona kołowrotek.

O, Wielki Boże! Któż mi tę uciechę  
Sprawił, zem o niej nawet nie wiedziała?

### BASIA

Dla mnie te lśniące dzbanki na pociechę,  
Abym w nie słodkie maliny zbierała.

d. c. n.

STANISŁAW BEŁZA

57)

## NAD ŻŁOTYM ROGIEM

Ich katedra z zewnątrz nie odznacza się niczem nadzwyczajnym; otoczona murem, nie imponuje zdaleka, wewnątrz przecież posiada bogactwa wielkie i cenne artystyczne zabytki. wyrwane nieledwie z rąk turków.

Pod nieobecność patriarchy greckiego odwiedziłem jego administracyjnego zastępcę.

Przyjął mnie uprzejmie, oprowadził po pałacu, zawieszonym portretami postaci historycznych w Fanarze, częstował konfiturami na sposób turecki, wypytywał o stosunki mojego kraju i wtajemniczał w krótkości w swoje.

Dowiedziałem się, że pod skrzydłami patriarchatu znajduje się grecka szkoła męska i żeńska, że tuż przy nim jest biblioteka i że oświata publiczna w Fanarze nie wiele pozostawia dziś do życzenia.

Ale dowiedziałem się i innej rzeczy — oto że odzieleni setkami mil od swojej metropolji tutejsi grecy, nie przestają pamiętać o swojej zamorskiej ojczyźnie, nie tracą z nią czucia, i grosz zdobyty nad Bosforem pracą całego życia składają w ofierze krajowi, choć nieraz przecież ich noga w nim nie powstała.

I znowu po ulicach względnie porządnym, po domach przypominających nasze europejskie, kobietach odsłoniętych, męczyznach rozstrzygających z życiem kwestje dnia, mamy nie ulice, tylko kanały, nie domy, lecz klatki, nie pulsujące gorącą krwią życie, ale grobowy spokój śmierci.

Skończył się Fanar, zaczął się mahometański Stambuł, ten sam Stambuł, który nawiedziliśmy już niejednokrotnie i od strony obu mostów na Żłotym Rogu, i od strony Seraju, i Aja Sofji i Murów, ściskających go, jak obręczą.

Ten sam.

Ale Stambuł jest to morze, niby wszędzie jednostajne, a przecież, pod wpływem niejednakowego oświetlenia i różnych warunków atmosferycznych, na każdym nieledwie kroku dające obrazy odmienne.

W tem miejscu, gdzie się do niego z przedmieść żydowskiego i greckiego wkracza, nie odznacza się on przedewszystkiem tą kolosalnością, co na południu. Nie masz tu ani tych majestatycznych meczetów, zdobnych kopułami i minaretami godnymi pendzla najwykwintniejszego malarza, ani tych koronkowych fontan i studzien, czarujących pomysłem i wykończeniem. Nie masz także i tych pomników historycznych, które, acz w ruinach, zwracają przecież uwagę każdego, zatrzymują go przed sobą. Wszystko, co piękne, wszystko, co bogate, co wielkie wspomnienia na myśl przywodzi, oko rozplomienia, sercu żywiej uderzać każe, wszystko to stąd jest daleko... I dlatego też rzadki tu zagląda podróżny, a nawet i wtedy, gdy nawiedzi Balatę i Fanar, kaikiem zazwyczaj powraca do swojej Pery, bo mu się nie chce kroczyć tym labiryntem ulic ciemnych, ciasnych, brudnych i pozbawionych

tych atrakcji, jakie posiadają niemniej wprawdzie od nich brudne, ciasne i ciemne, ulice południowych dzielnic stolicy Padyszachów, ale zdobne w zabytki sztuki, jakim podobnych nie posiada żadne miasto.

Z mniejszym więc i my już interesem przebiegamy je, zmierzając w stronę mostu Sułtanki Validy, by wsiąść na statek, mający nas zawieźć na azjatycki brzeg Bosforu, choć nie powiemy, by ta długa i mozolna w dzień upalny wędrówka była interesu pozbawioną, a nie powiemy tak właśnie dlatego, że Stambuł jest tem wielkiem morzem, pełnem różnaitości, w które należy się w różnych miejscach z uwagą wpatrywać, by sobie stworzyć obraz, o ile można, pełny i dokładny.

Obserwujemy naprzykład tu lepiej, niż gdzieindziej, praktyki religijne turków.

Zamiast meczetów wielkich i tych fontan o murytańskich ozdobach, jakiemi się roją place, oplukiwane wodami morza Marmara, są tu maleńkie dżamje i studzienki, w których się oni myją, zanim podążą na modlitwę. Przed św. Zofją, Ahmedem i Sulejmanje widzieliśmy te ich obmywania, tu przecież dopiero dostrzegamy, znajdując się między najbiedniejszymi ale najgorliwszymi za to, być może, wyznawcami wiary Mahometa, jak ściśle przestrzegają oni przepis, by stawać przed okiem Pana czystymi.

Oto przed nami skromny minarecik, a tuż przy nim o kilku kranach studzienka.

Muezzin wyśpiewał dopiero co właśnie swoje wezwanie do modlitwy, do studni ciśnie się gromada starych turków.

Zaczyna się obrzęd obmywań.

Zrzucają pantofle, polewają i myją naprzód nogi, potem ręce i twarz.

Ale nie poprzestają na tem.

Rozpinają kaftany, podkładają pod krany z wodą głowy, myją szyję i piersi. Myją je i wycierają powoli, przyglądają się uważnie rękomi i nogom, zdają się jedni drugich oczyma pytać, czy już są godni podnieść wzrok swój ku niebu. I dopiero gdy dojdą do tego przekonania, że tak jest, idą ku dżamji, ustawiają się pod jej galerją szeregiem jeden przy drugim i, dotknawszy głowy rękami, spełniają swój duchowy obowiązek, potrzebę swoich serc.

A choć i przy słynnej ze swej piękności fontannie Aja Sofji jest nie inaczej, tu przecież, na tem odległem od środka Stambułu przedmieściu, spotykam się z daleko większą pod tym względem drobiazgowością i ściśłością. Rzekłbyś, że tu turek ocierający się o miedzę o dwa światy gjaurów, uosobione w greckim Fanarze i żydowskiej Balacie, czuje gwałtowniejszą potrzebę uwydatnienia, że niema z niemi nic wspólnego, i obmycia się z brudu, jaki mógłby do niego przylgnąć z poniewolnego zetknięcia się z nieczystymi.

Zapoznając się tu także bliżej z ulicznym pisarzem.

Siedzi przy stoliku, i otoczony gromadką ludzi, za kilka naszych groszy, pisze na żądanie każdego listy.

Trzeba widzieć, z jaką powagą obowiązek swój wykonywa, jak uważnie przysłuchuje się długim opowiadaniom, jak biegle przelewa myśli na papier.

I w innych dzielnicach Konstantynopola znanym jest on, jako pośrednik między bliskimi i dalekimi; ale tu, gdzie i ubóstwo jest większe, i mniejsza oświata, jest on osobistością, odgrywającą bez porównania wybitniejszą, niż tam, rolę.

Z minaturowych podwórców i ogródków dolatują do moich uszów dźwięki muzyki.

Wsluchuję się w nią uważnie, uderza mnie bowiem swoją oryginalnością.

Oryginalnością, nieprzyjemną.

Muzyka to nawskroś turecka, nie mająca z naszą nic wspólnego. Melodji w niej niema, niema harmonji, jest jakaś mieszanina dźwięków, pełnych dysonansów rozdzierających uszy.

Turcy się w nią wsluchują, piją kawę i palą fajki, na twarzach ich przecież nie czytasz, czy przemawia ona do ich dusz.

Prawdę powiedziawszy, na twarzach ich nie czytasz nigdy nic.

Ten muezzin tam na szczycie i ten rozmodlony turek na dole, ten zasłuchany w opowiadanie w kawiarni i ten sprzedający blaszane wyroby w sklepie, wszyscy patrzą przed siebie jednakowo spokojnym wzrokiem, wszyscy nie zdają się mieć dążeń żadnych. Powaga, cisza, obojętność, oto cecha ich wszystkich, jacy są! Tu, gdzie jestem w tej chwili, ludność biedniejsza i, powiem, że w całym jej zachowaniu się, widzę nawet większą niż tam, gdzie jej się lepiej dzieje, nie tylko o doczesne dobra, ale i o jutro, obojętność.

I przypomina też się tu wyraźniej, niż tam, ta filozofja wschodnia, której turek jest głębokim czcicielem i, mając jej żywe konsekwencje przed oczyma, pragnie się też przypomnieć ją po raz już ostatni w tym Stambule czytelnikowi, zwłaszcza, że piękna forma, w jaką ją ubrał nieznan nam z nazwiska polski poeta, wprasza się sama pod pióro.

„To co każdemu w odwiecznej potędze  
„Przeznaczył Stwórca, w jego losów księdze,  
„Szczęście e, ubóstwo, czy też skarbów wiele,  
„To mu z pewnością przypadnie w udziale  
„Czy on w pustyniach niezmiernych żyje,  
„Czy się na górach niedostępnych kryje;  
„Więc żyj bez troski i patrz bez zawiści  
„Na szczęście innych, na mocnych korzyści,  
„Bo czy ty wodę z malej czerpiesz rzeki,  
„Czy sięgniesz dzbanem w głębie oceanu,  
„To więcej swego nie napelnisz dzbanu,  
„Niż po brzeg tylko, wskazany po wieki!”

Ale gdzież są w tym mahometańskim Stambule kobiety?

Przejechaliśmy go i przeszliśmy wzdłuż i wszerz niejednokrotnie, zaglądaliśmy do jego świątyni, medres,

bazarów, kawiarni, łaźni publicznych, garkuchni i ulicznych fabryk słodczy, i nie spotkaliśmy się z nimi nigdzie.

Tam, gdzie w Europie gwarem swoim i śmiechem, dominują nad mężczyznami, gdzie nawet w Galacie, jako wyznawczynie innej wiary, królują niepodzielnie, tu ich niema, a gdzie są i obcy widzieć się dają, ukazują się jak gdyby w drodze wyjątku, i wstydząc się obecności swojej, zaledwie się ukazą — znikają.

Jedzie się lub idzie, uliczkami ciasnymi, brudnymi, dusznymi.

W kawiarniach, w sklepach, przed domami widzi się tłumy.

Palą fajki, z założonemi pod siebie nogami wypoczywają po dniu bez trudu, lub poważnie przechadzają się w towarzystwie nieodłącznych psów.

Wszystko mężczyźni.

Kobiet niema.

Na moście Sułtanki Validy widziałeś je w lektykach i powozach, na Wielkiej ulicy Pery, w Słodkich Wodach Europy i Azji, ocierałeś się o nie często; okapturzone, odstrasające, ale przecież były, przypominały ci o tem, że istnieją, że Konstantynopol nie jest schronieniem jednej płci.

Tu się nie przypominają, pokazują się tak rzadko i w postaci tak do kobiety niepodobnej, że zdaje ci się, iż ich tu niema wcale, że ten świat, gdzie jesteś, choć z nich się ostatecznie narodził, jak gdyby mszcząc się na nich za to, że go na tę nędzę i poniewierkę sprowadziły, skazał je bezlitośnie na zagładę.

A przecież są...

Żyją, po swojemu myślą, kochają, pracują, cierpią.

d. c. n.



Gobelin, mający 600 lat, tkany złotem p. t. „Ecce Homo“ kosztował pół miliona franków.

# Legenda.

Dok.

Jest w Karpatach góra wielka,  
Wyniesiona ponad inne,  
Jak cudowna karmicielka,  
Czarem poi serca gminne.

Szczyt jej wiecznie poza chmurą,  
Ginie w rąbku śniegów białym,  
Lud ją zowie „Babią górą“  
Stąd, że matczy Tatrom całym.

Duch podania, co z niej wieje,  
Włada w pełni wśród tej dziczy,  
I na całe nasze dzieje  
Rzuca urok tajemniczy.

Nieraz, gdy noc padnie głucha,  
A wiatr w zeschły liść szeleści,  
Grono przątek trwoźnie słucha,  
Czarodziejskiej opowieści.

Na odzwierku blask łuczywa,  
Fantastyczne rzuca cienie,  
A staruszka, matka siwa,  
Budzi dawnych lat wspomnienie.

I gdy rąbek ich odsłania,  
To jak wróżka kiedy wieści:  
Taka moc w niej przekonania,  
Taka siła w jej powieści...

Coraz wolniej mkną wrzeczona,  
Cczaz ciszej w gwarnym chórze,  
Dziatwa słucha rozmarzona,  
Baśni o zaklętej górze.

Wieki płyną — jak w tej stronie,  
Nie za ludzkiej już pamięci,  
W tajemniczem góry łonie  
Wojownicy śpią zakłęci...

Skąd tu przyszli, kiedy, poco?  
Próżno pytać wieści głuchej,  
Dość, że nieraz ciemną nocą,  
W długim szlaku mkną tu duchy...

Nieraz słyhać tu chrzest broni,  
Przytłumiony gwar człowieczy,  
Brzęk ostrogi, rzenie koni  
I ostrzenie stalnych mieczy.

A gdy burza pomknie dzika,  
Poprzez nagie Tatr ogromy,  
Góra z grzmotem się odryka  
I duch staje w niej widomy.

Stoi, patrzy w dal głęboką  
I poświstu wiatrów słucha,  
Nieruchome jego oko,  
Zdradza ogień jego ducha.

*Władysław Betza.*



Krajobraz.



KAP. BRERETON.

# Tajemniczy samolot

Przekł. z ang.

M. G.

25)

Sześciu ich wysunęło się naprzód, a jeden olbrzymi, chudy drab, pędzący na czele, rzucił szablę i zdobywszy z za pasa puginał, skoczył wprost na Teda. Ted nie tracąc przytomności, uderzył go w ramię kolbą karabinu; skutkiem wielkiego rozmachu i silnego uderzenia, padli obaj na ziemię. Mongoł chwycił Teda za gardło, usiłując go przebić, ale Ted, angielskim obyczajem, walił go pięścią w twarz, a lewą ręką przytrzymywał wzniesiony nad głową puginał. Wyrwał się wreszcie z jego objęć i dźwignął z ziemi, lecz mongoł porwał się znowu na niego z puginałem. Na szczęście Terencjusz nie próżnował.

— Ty djabli synu! — ryknął. — Ja się z tobą rozmówię!

Podniosłszy w górę szablę, rzucił się na mongoła, odepchnawszy Teda. Szabla z potężnym rozmachem spadła na głowę natarczywego draba, który runął na ziemię, jak wół pod uderzeniem obucha, zarywszy się nosem w piasek.

— Sameś sobie winien, kochaneczku! — zawołał tryumfująco irlandczyk, ciągnąc konie, które stały spokojnie, jak dobrze ujeżdżone wierzchowce.

Pięciu towarzyszków chudego draba, spotkało się z dwiema celnymi kulami Harvey'a; trzeciego powalił Terencjusz, a dwaj pozostali, gnani strachem, uciekali jakby mieli skrzydła u ramion.

— Na koń, panowie! — zakomenderował Terencjusz, podnosząc machinalnie rękę do czoła.

— Harvey, czy poradzisz sobie z koniem? — zapytał Ted.

— Poradzę! — odrzekł Harvey. — Siadaj pierwszy, ja siadę za tobą i będę kierował koniem...

— Prędeż! — naglił Terencjusz. — To plugastwo zaraz powróci... Korzystajmy z czasu... Jazda, panowie!

— Ted pobiegł ku koniom, Harvey za nim. W pośpiechu, zarzuciwszy strzelby na ramię, byliby zapomnieli o karabinach, gdyby nie Terencjusz.

— Dawajcie karabiny! — krzyknął, siadając na konia. — Wezmę je oba, a wy swoje strzelby.

Gdyby nie jego pomoc, trudnoby było chłopcom wsiąść na konia z takim podwójnym rynsztunkiem.

Harvey, wprawny w konną jazdę, wsparł nogi na krótkich, mongolskich strzemionach, objął siedzącego przed nim Teda, ujął cugle i puścił się galopem, pozostawiając za sobą goniącą z dzikimi okrzykami tłuszcę i gwizdzące w powietrzu kule.

— Dzięki niech będą Bogu, że nas wybawił z tego niebezpieczeństwa. — wyrzekł uroczyście Terencjusz. — Byłem już nie raz w ciężkich opałach, ale nigdy jeszcze, nigdy śmierć nie zajrzała mi w oczy tak blisko... Dzięki niech będą Bogu!

— Amen! — odpowiedzieli Ted i Harvey.

— Nasze szczęście, że mamy konie! — dodał Terencjusz. — A panów muszę pochwalić, że sprawiliście

się jak oficerowie! Nie wstydziłbym się służyć pod waszymi rozkazami... Będziemy mieli co opowiadać za powrotem!

— Byleby się nam udało powrócić! — zrobił uwagę Harvey, odwróciwszy głowę. — Bo nowi jeźdźcy nas ścigają. Ted! trzymaj się mocno za siodło. Trzeba przyśpieszyć biegu.

W oddali z lewej strony z poza lasu, ukazało się kilkunastu jeźdźców. Pochyleni na szyje swych koni, naglili je do biegu biciem i krzykiem, usiłując zabiedz drogę uciekającym.

— Prędko! Prędko! Komu życie miłe! — naglił Terencjusz.

Już tylko trzy mile dzieliło ich od samolotu, leżącego na odkrytej równinie. Ale koń, niosący dwóch chłopców, zaczął zwalniać biegu, uginając się pod podwójnym ciężarem. Terencjusz choć wyprzedzał swych towarzyszy i mógł ich zostawić za sobą, zwolnił biegu, wołając:

— Wasz koń ustaje... Nie zajdzie już daleko...

— Przystańmy trochę dla wytchnienia — powiedział Ted. — Tak czy owak, zabiegają nam drogę... Nabierzemy tchu i naradzimy się co zrobić...

## X.

### MĘŻNA OBRONA.

— Dwudziestu sześciu! — syknął Ted. — To znaczy więcej niż ośmiu na jednego...

Stał spokojny, ściskając w rękę strzelbę, Harvey, czerwony jak burak, ocierał pot płynący mu po twarzy.

Irlandczyk zaklął, zakładając nowe naboje do karabina.

— Czego chcą od nas te łotry? — pytał z gniewem. Nie zrobiliśmy im nic złego.

— Zabiliśmy jelenie a to może ich własność? — zrobił uwagę Harvey. — zresztą jesteśmy cudzoziemcami i niepożądani tutaj.

— Cudzoziemcy? A mało to cudzoziemców spotyka się w starej Irlandji? — wykrzyknął wzburzony Terencjusz. — Ale każdy Irlandczyk zostawia ich w spokoju. Czegoż to plugastwo chce od nas?

— Nie wiem — odrzekł z filozoficznym spokojem Ted. — To tylko wiem, że są między nami i „Upiorem“, i że nas do niego nie dopuszczają. Musimy się z nimi rozprawić. Dopuszczymy ich trochę bliżej i przywitajmy śrótem. Ludźmi zajmie się Terencjusz, a my będziemy ploszyli konie...

Plan był bardzo rozsądny. Nieprzyjaciel przystanął na chwilę, przygotowując się pewnie do ataku. Jeźdźcy na swych mongolskich siodłach z krótkimi strzemionami, czynili wrażenie siły i sprawności. Wydawali głośne okrzyki i potrząsali groźnie szablami.

— Hałas robią więcej niż trzeba — odezwał się cierpko Terencjusz. — Przestalibyście lepiej wrzesz-

czeń i podeszli bliżej, bo czekamy was bardzo niecierpliwie...

Jakby w odpowiedzi na te słowa, oddział zatoczył koło i puścił się galopem. Napastowani westchnęli z uczuciem ulgi. Bo łatwiej zetrzeć się z wrogiem, niż trwać w takiej dręczącej niepewności, która rozstraja najsilniejsze nerwy.

— Idą! — szepnął Ted.

— Obejrzyjcie się w tył... — odezwał się nagle Harvey.

— Obejrżeli się i ujrzeli pędzących stamtąd niedobitków pierwszego oddziału!

A błyszczący srebrzystymi ścianami „Upiór“, leżał tak blisko, że można już było rozeznaczyć jego zarysy... Tak blisko, a jednak dostać się do niego było niepodobieństwem!

— Pomóż nam nie mogą — wypowiedział głośno swą myśl, zadumany Ted. — Musimy sami sobie radzić, jak się uda.

Słowa te padły krzepiąco na serca towarzyszków. Harvey roześmiał się, a Terencjusz zamruczał potakująco, nakładając fajeczkę.

— Jeszcze mam czas wypalić zanim nadejdą... A potem damy im lekcję... gramatyki...

Irlandczyk wierny był tradycjom armji, w której służył, a która, idąc do boju, na lądzie i na morzu, zwykła zawsze żartami usypywać drogę, choćby pod gradem kul nieprzyjacielskich.

d. c. n.

## Posąg Peter Pana w Londynie W PARKU KENSINGTON.

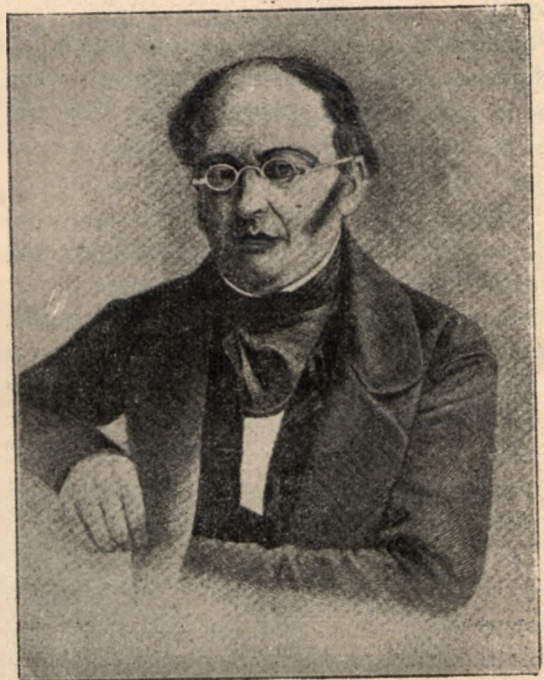
Oto fakt, niebywały dotąd w literaturze jakiegokolwiek kraju. Istota fantastyczna, powstała w wyobraźni utalentowanego pisarza, przedostała się tak żywo i namacalnie do umysłów dziecięcych i nie tylko dziecięcych, że postanowiono przenieść ją z kartek książki, dzięki której poznał ją cały świat dziecięcy, nadać jej kształty plastyczne, i wystawić jej piękny pomnik, jakby żywej osobie, uwiecznionej w marmurze, na dowód czci i wdzięczności.

I zaiste uczuciem wdzięczności kierowali się liczni wielbiciele, starzy i młodzi, skoro zapragnęli wzniesić śliczny pomnik, w parku Kensington, na cześć odważnego Peter Pana, którego prawdziwe przygody, z takim talentem opisał angielski pisarz Barrie. Bohater książki Barrie'go posiada całe legjony wielbicieli, dla których, dzięki sile twórczej, która go wydała, stał się czemś więcej od zwykłego bohatera książkowego, który na krótką chwilę zajmuje uwagę i zyskuje życzliwość czytelników.

Kto się raz zaznajomił z Peter Panem ten nie zapomnił go i nie zapomni nigdy. Stał się on przyjacielem, towarzyszem ukochanym, nigdy nie widzianym a jednak lepiej znanym, dzięki talentowi pisarza i fantazji każdego z czytelników, niż gdyby był istniał na świecie z ciałem i duszą. Każdy, kto poznał Peter

Pana, odbywał wraz z nim fantastyczne podróże, oglądał miejscowości czarodziejskie, przeżywał przygody niebywałe i niemożliwe. Jednym słowem kto tylko się zapoznał z Peter Panem, zawdzięcza mu długie godziny czystego i zdrowego zadowolenia, radości, jako prawdziwemu dziełu sztuki szlachetnej i wzniosłej. Za całą ową skarbnicę dobra, jaką śmiały przeciwnik kapitana Uneina wniósł w królestwo dziecięce, zapragnęły dzieci, by ich niezapomniany przyjaciel został uwieczniony, pod postacią pomnika. Pomnik ten wzniesiony został w pierwszych dniach maja roku zeszłego (1912) w jednym z ogrodów londyńskich — Kensington, na podziw dzieci całego świata.

W następnym numerze rozpoczynamy druk powieści Barrie'a p. t. „W królestwie Peter Pana“.



## Józef Korzeniowski.

Dnia 17 września minęło 50 lat od dnia śmierci zasłużonego powieściopisarza polskiego Józefa Korzeniowskiego.

Urodzony w 1707 r. Korzeniowski kształcił się w słynnym Kolegium Krzemienieckim, założonem przez Czackiego, poczem kolejno był profesorem gimnazjum, dyrektorem, wreszcie naczelnikiem komisji oświecenia publicznego w Królestwie Polskiem, czyli ministrem oświaty. Jego działalność nauczycielska była bardzo owocna, ale prawdziwą zasługą były powieści i sztuki teatralne, których wiele pisał w chwilach wolnych od zajęć.

We wszystkich swoich utworach, Korzeniowski wykazywał, że nie świetne pochodzenie lub bogactwo stanowią o wartości człowieka, lecz wykształcenie jego i praca.

Za to też naród polski czci pamięć zacnego człowieka.

# PRZEBOJEM.

OBRAZEK Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI

OPOWIEDZIAŁ

JÓZEF CIEMBRONIEWICZ 22)

Po spowiedzi ksiądz przywołał do pokoju chorego rodziców, domowników i polecił ojcu posłać jeszcze po dwóch poważnych profesorów, ponieważ umierający ma złożyć bardzo ważne zeznanie.

Rodzice, a szczególnie matka sprzeciwiali się temu z początku z obawy, aby to nie zaszkodziło choremu, ksiądz jednak był nieubłagany.

— Wielką krzywdę ma chłopak ten na sumieniu i z krzywdą tą stanąć nie powinien na sądzie Pana nad Pany, a chyba zbawienie jego ważniejszą jest rzeczą, aniżeli wszystko!

Wobec stanowczego oświadczenia księdza rodzice ustąpili:

Gdy wszyscy zgromadzili się w pokoju chorego ksiądz rzekł:

— Krzywda dotąd nie będzie odpuszczona, dopóki nie zostanie naprawiona. Chory ma jedną taką ciężką krzywdę na sumieniu i chciałby ją o ile to będzie możebne naprawić. Poprosiliśmy tu panów byście byli świadkami tego co chory zezna i w razie potrzeby słowa jego potwierdzili. Mów synu, a pamiętaj, że Bóg słowa twe słyszy. Mów tak, abyś się gdy staniesz przed Panem ze słów swych tłumaczyć nie potrzebował!

Chory uniósł się cokolwiek na łóżku.

— Ciężki grzech mam wyznać, ciężką krzywdę naprawić. Przed trzema laty na imieninach ojca mego zginęła jednej z pań broszka. Szukając tej broszki, za moją wskazówką znaleziono ją w kufrze mego nauczyciela domowego. Na tej podstawie posądzono go o kradzież i wyrzucono ze wszystkich gimnazjów. Broszkę tę ja włożyłem mu do kufra i umyślnie urządziłem wszystko tak, aby posądzenie padło na niego, nienawidziłem go bowiem oddawna i za każdą cenę chciałem się go pozbyć z naszego domu!

Zmęczony wyznaniem osunął się na poduszki. Pośpieszyła do niego matka, aby mu podać krople trzeźwiące. Po zażyciu lekarstwa zaczął mówić dalej:

— Wszystko przemawiało na niekorzyść posądzonego. Wśród zamięszania zapomniał o tem, że klucz zgubił na kurytarzu, zapomniał, że klucz ten ja mu oddałem i gdy go zapytano odpowiedział, że klucz od kufra nosi zawsze przy sobie. To go do reszty zgubiło. Miałem zamiar nagabywany przez spowiedników po każdej spowiedzi wyznać prawdę, zawsze mi jednak fałszywy wstyd usta zamykał. Dziś błąd mój wyznaję. Krzywdę pragnąłbym naprawić. Wiem, że jest straszna i wiem, że w zupełności naprawić je nie będę mógł. Przebac mi ojczy, że do wszystkich przykrości jakie ci postępowaniem mem sprawiłem i tę jedną jeszcze dodać muszę. Jeżeli...

Chciał jeszcze coś mówić, ale zabrakło mu sił.

Doktór i matka zaopiekowali się nim, a świadkowie zeznania wysunęli się z pokoju.

W słowa chorego nie można było wątpić. Teraz trzeba było tylko naprawić i o ile możliwości odrobić to co się złego zrobiło.

Kaznikiewicz zanadto był uczciwy, aby ze sprawami takimi zwlekać i chociaż zmartwiony i przygnębiony chorobą syna polecił w tej chwili spisać protokół z zeznania jakie umierający poczynił. Protokół podpisali wszyscy obecni.

Na drugi dzień zwołał dyrektor konferencję i przedstawił jej całą sprawę. Ze względu na dyrektora dla którego osobiście sprawa ta była nadzwyczaj przykra żalowano go, ale z drugiej strony ci profesorzy, którzy znali Janka cieszyli się, że posądzenie było niesłuszne i sprawa taki obrót wzięła.

Uchwalono też jednogłośnie zawiadomić radę szkolną o zaszłych wypadkach i prosić by cofnęła orzeczenie swoje wydalające Janka ze wszystkich szkół średnich, zawiadomić Janka, że może być napowrót do szkoły przyjęty, podać sprawę całą za pośrednictwem dzienników do wiadomości ogółu i starać się w ten sposób zmyć plamę z nazwiska Janka.

Ponieważ adresu jego nie znano; a wiedziano, że Jankiem interesował się zawsze ksiądz i nauczyciel zwrócono się do tego pierwszego po adres, donosząc mu o zaszłych wypadkach.

Wszystkiego byłby się ksiądz pierwiej spodziewał, aniżeli tego. Zaraz podał adres Janka, ale pragnąc pierwszy zwiastować mu radosną nowiną postanowił pojechać do niego sam.

Panna Marjanna zdziwiła się nie mało, gdy ksiądz rzeźkim krokiem jak gdyby mu lat ubyło przyszedł do niej:

— Wyjeżdżam moja pani siostró na kilka dni, przygotuj mi panie wszystko co potrzeba!

— A toż co znowu księdzu bratu do głowy strzeliło? Skądże ten nagły projekt wyjazdu?

— Ano chciałbym się panie jeszcze przed śmiercią przewietrzyć trochę po świecie!

Panna Marjanna zaniepokoiła się nie na żarty. Ruchy księdza jakieś odmłodzone, twarz dziwnie rozpromieniona, ów wyjazd niepraktykowany, wszystko to świadczyło o czemś niezwykłym i poprostu przeleżała się kobiecina czy ksiądz nie zachorował. Zauważył ksiądz Jański to jej przerażenie.

— Pani siostra patrzysz coś na mnie jak na wariata i masz panie taką minę, jak gdybyś miała ochotę nalać mi zimnej wody na głowę. No, jeszcze panie tak źle nie jest. Pragnę odwiedzić Janka, stęskniłem się za nim i tyle!

Nie wystarczało to jednak pannie Marjannie. Dopiero gdy ksiądz wytłumaczył jej wszystko ucieszyła się serdecznie i nie stawiała już żadnych przeszkód.

— A jedźże jegomość, jedź! A to się chłopczy-na ucieszy dopiero. No, żeby tak nie gospodarstwo, którego nie ma przy kim zostawić to i jabym z księdzem bratem się ruszyła!



Nie, *Różycko*, Halinka niema siostrzyczki, ani braciszka, sama sobie musi wystarczać, ale za to, gdy przyjdą do niej dzieci w gościnę, lub ona składa im wizytę, to chwila rozstania bardzo jest smutna i łzami oblewana, tak bardzo lubi towarzystwo, tak ciągnie ją do dzieci. Gdy jej opowiedziała o tobie zainteresowała się niezwykle i parę razy w ciągu dnia pytała, kiedy do niej przyjdiesz i czy długo będziesz się z nią bawiła; obiecuje ofiarować ci najulubieńsze swe zabawki i śpiewać najładniejsze piosenki. Dotrzymaj więc kochanko słowa i odwiedź nas po powrocie do Warszawy, który już niezadługo nastąpi.

Halinka w zwykłej swej szczodrości za twe „dużo całusów“ mówi: „a ja pocałuję *Różyckę* jeszcze więcej razy“.

Pytasz *Zońko*, czy do korespondencji ze mną pseudonim jest konieczny, bynajmniej. Ja nawet wolę, gdy podpisujecie się prawdziwym imieniem i nazwiskiem, bo stajecie mi się bardziej bliscy i znani, ale ponieważ dla różnych powodów korespondenci wolą występować ze spuszczoną przyłbicą, pseudonimy ogólnie się przyjęły. Nie lubię tylko, jeżeli są one zbyt wyszukane, pretensjonalne, gdyż naturalna prostota powinna być cechą każdego charakteru, a wszelka przesada niemile razi i ośmiesza. Twój pseudonim dobry jest i wdzięczny, zmieniać go nie potrzebujesz.

To, o czym donosisz, smutne jest bardzo, ale wcale nie dowodzi, żebyśmy byli gorsi od innych narodów, jesteśmy tylko ciemniejsi i w tym tkwi przyczyna cała. Niesienie oświaty i kultury we wszystkie zakątki kraju naszego powinno przybrać jaknajszersze rozmiary. Ty jesteś w szczęśliwych warunkach, gdyż możesz działać, tembardziej, że masz żywy przykład w osobie szanownej swej ciotki.

Książki żądane wysła każda księgarnia za zaliczeniem pocztowym.

Dobrze robisz *Puszczyku*, ucząc się tak gorliwie, gdyż nauka obok chrześcijańskiej miłości bliźniego, na którą się powołujesz, pomoże ci również zrozumieć słowa Chrystusa Pana: „Nie godzi się brać chleba dzieciom własnym i rzucić go niegodnym tego!“

A ty, czy czułyś się zadowolony, gdyby rodzice twoi w imię miłości dla sierot całą swą pieczę, starania i mienie im oddali, ciebie zaś, rodzone swe dziecko zostawiali bez opieki, nauki i żywności, skazując na pastwę losu?

Otóż z kwestją, o którą ci się rozchodzi, tak właśnie rzecz się ma, a nawet jeszcze gorzej, bo to nie sieroty, lecz żywiol szkodliwy, psujący społeczeństwo. Obowiązek mamy przedewszystkiem względem najbliższych; kto tego nie uznaje nie jest dobrym obywatelem kraju.

Z pożytkiem możesz czytywać dzieła Teresy Jądwig, Urbanowskiej, Morawskiej, Bukowieckiej, Gruszeckiego, Przyborowskiego, Verne'a, zajmą cię one ogromnie. Listy od was, choćby najdłuższe nie nudzą mię nigdy, przeciwnie, o ile są treściwe zajmują mię bardzo i cieszą.

Ofiary na ochronkę można nadsyłać i markami, pod adresem wszakże redakcji, lub administracji, z wyraźnym zaznaczeniem na jaki cel.

Halinka odwzajemnia ci się pięknym dygiem i ró-

wnież życzy zdrowia, a jako jedynaczka rozumie i współczuje ci w braku towarzystwa; ale przecie między szkolnymi kolegami możesz znaleźć chłopców dobrych, rozsądnych, którzy mogą stanowić miłe i odpowiednie towarzystwo, a tem samem dodatnio wpływać na ciebie. Rozejrz się chłopcze dobrze.

*Promień Słońca*, idąc za przykładem słońca na niebie, skąpiącego nam w tym roku ciepła i promieni, krótkie tylko karty pisze do „Przyjaciółki“, ale dzięki i za to! Cieszę się bardzo, żeś zdrowsza i życzę jak najrychlejszego powrotu do kraju.

I ja się stęskniłam za wami, drogie moje dziewczątka, *Wiochno* i *Jagódka*, ogromnie się więc ucieszyłam listem od was i wiadomością o poprawie stanu zdrowia *Jagódki*, Bóg da, że niezadługo będzie zdrowa zupełnie i rzeźka, jak rybka.

Tak, *Wiochno*, masz słuszność, że modlitwa jest największą siłą i pociechą w smutnych chwilach życia i często przez modlitwę otrzymujemy od Boga pożądane łaski i dary; gdzie moc i wiedza ludzka słabną, modlitwa działa cuda.

Jakże się cieszę, kochanie, że tak pracujesz nad sobą i przewycięzasz pokusy, czego wymownym dowodem jest kwota przysłana na ochronkę, zamiast wydania jej na łakocie, jest w tobie materiał na zającą i dzielną kobietę.

Przyjemnie spędziłyście lato, a ja radosne uczucia wasze i zachwyty nad czarami przyrody rozumiem i dzielam, bo piękną, niewypowiedzianą piękną i drogą sercu jest ta polska ziemia nasza! I ja lato spędzam na szczerej polskiej wsi, nie nad morzem, jak myślałaś, ale wkrótce wracam do Warszawy.

Tadzio jest prawie zdrow i serdecznie dziękuje ci za współczucie i pamięć. Ja zasyłam wam mocne uściśnienia i najlepsze uczucia.

Winszuję ci kochana *Balladyno*, skończenia czterech klas i zamiaru zostania nauczycielką ludową, ale nim to nastąpi, pracuj usilnie nad kształceniem własnego umysłu i charakteru, pracuj nad ojczystym językiem i dziejami swego narodu, byś zamiłowanie do wszystkiego, co polskie, łatwiej mogła rozbudzać w młodych duszyczkach.

Bardzo będę rada pozyskaniu nowej korespondentki w osobie twej siostrzyczki, to też skłoń ją do napisania listu do mnie.

Nim poznamy się osobiście, zasyłam ci serdeczne uściśnienie.

Doskonale rozumiem to *Śmieszko*, że przewyciężanie swych wad jest trudnem bardzo, ale jaka za to nagroda słodka!

O najśłodsza, najtrwalsza, bo szczęście wewnętrzne, wypływające z duszy, z nas samych, nie z otoczenia i warunków, które tak łatwo się zmieniają i radości zamieniają w smutek. Szczęście nosimy w sobie i odnajdujemy je przez doskonalenie ducha, zwyczajanie pokus, poświęcenie i ofiarność dla bliźnich, a zaczynać trzeba od spełniania najbliższych obowiązków.

Jeśli chcesz kochana dziewczeczko, by dotychczasowe twe szczęście było trwałe, to świadcząc innym dobrze, dając im serce, nie licząc na miłość ani wdzięczność, nie żądaj żadnej od nich nagrody, choćby w postaci owej „części serduszka“ nie. A jeżeli nagroda taka cię spotka, przyjmij ją jako radosną, lecz nieoczekiwaną niespodziankę.

Bardzo serdecznie całuję cię i życzę owocnej pracy w ciągu roku, byś później mogła znów tak miłe spędzić wakacje.

*Przyjaciółka.*